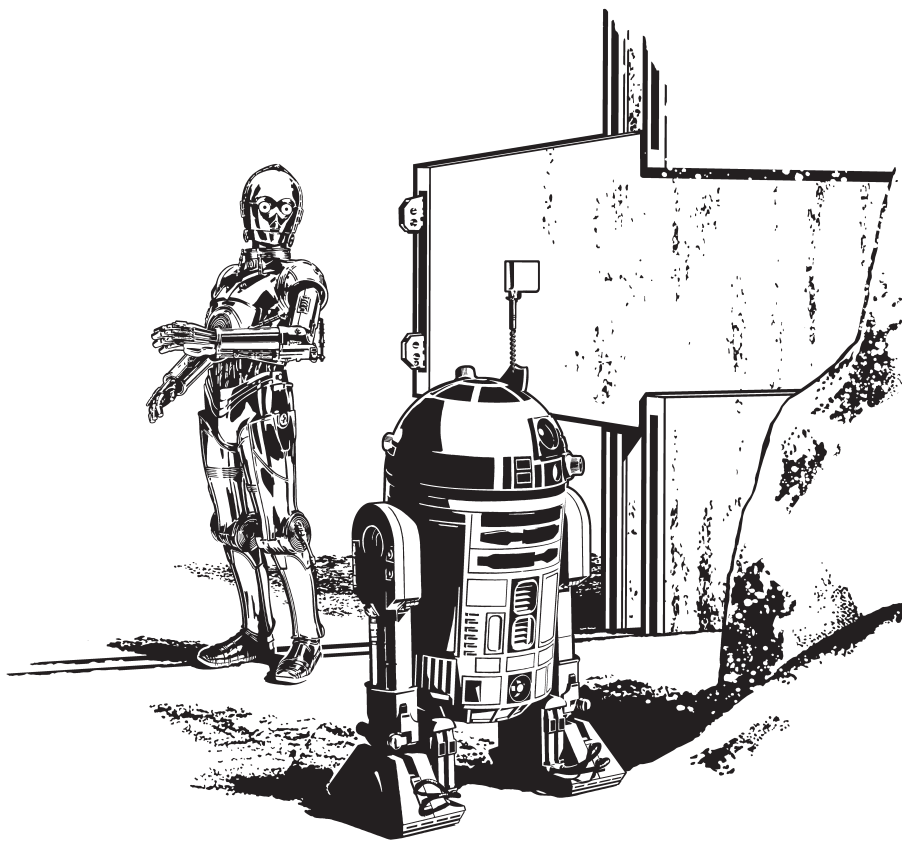


STAR WARS

Z PEWNEGO PUNKTU WIDZENIA *IMPERIUM KONTRATAKUJE*

TŁUMACZENIE: Krzysztof Kietzman





TOM ANGLEBERGER	JOHN JACKSON MILLER
SARWAT CHADDA	MICHAEL MORECI
S. A. CHAKRABORTY	DANIEL JOSÉ OLDER
MIKE CHEN	MARK OSHIRO
ADAM CHRISTOPHER	AMY RATCLIFFE
KATIE COOK	BETH REVIS
ZORAIDA CÓRDOVA	LILLIAM RIVERA
DELILAH S. DAWSON	CAVAN SCOTT
TRACY DEONN	EMILY SKRUTSKIE
SETH DICKINSON	KAREN STRONG
ALEXANDER FREED	ANNE TOOLE
JASON FRY	CATHERYNN E. VALENTE
CHRISTIE GOLDEN	AUSTIN WALKER
HANK GREEN	MARTHA WELLS
ROB HART	DJANGO WEXLER
LYDIA KANG	KIERSTEN WHITE
MICHAEL KOGGE	GARY WHITTA
R. F. KUANG	BRITTANY N. WILLIAMS
C. B. LEE	CHARLES YU
MACKENZI LEE	JIM ZUB

SPIS TREŚCI

Oczy Imperium – Kiersten White	9
Głód – Mark Oshiro	21
Kontrola działu jonowego – Emily Skrutskie	35
Porządny całus – C. B. Lee.....	51
Zapewni im ciepło – Delilah S. Dawson	71
Bohaterowie Rebelii – Amy Ratcliffe	83
Łotr Dwa – Gary Whitta	99
Kendal – Charles Yu	111
Na przekór wszystkiemu – R. F. Kuang	119
Rozpacz – Michael Moreci.....	129
Podstawowy obowiązek – Christie Golden	141
Przyrodnik na Hoth – Hank Green	153
Smokowąż ratuje R2 – Katie Cook.....	167
Po raz ostatni – Beth Revis	169
Punkt zborny – Jason Fry	177
Ostatni rozkaz – Seth Dickinson.....	213
Zasady (ewentualnego) przetrwania dla pilotów	
TIE-ów autorstwa Amary Kel – Django Wexler	237
Pierwsza lekcja – Jim Zub.....	259
Zaburzenie – Mike Chen	267
To nie jaskinia – Catherynne M. Valente	279
Lord Vader teraz panią przyjmie – John Jackson Miller...	293
Konwergencja – Tracy Deonn	311
Kłami i pazurami – Michael Kogge	323

ZOSTAJE! – Daniel José Older	353
Cierpliwości – Zoraida Córdova.....	371
Standardowa procedura imperialna – Sarwat Chadda...	383
Zawsze jest ktoś jeszcze – Mackenzi Lee	401
Uszy do góry – Cavan Scott	415
Ale co on je? – S. A. Chakraborty	437
Za chmurami – Lilliam Rivera.....	453
Nie pora na poezję – Austin Walker.....	469
Ucieczka z Bospina – Martha Wells	487
Wiara w starego druha – Brittany N. Williams	505
Pora lecieć na Batuu – Rob Hart	523
W chmury – Karen Strong	537
Świadek – Adam Christopher.....	551
Człowiek, który wznioł Miasto	
w Chmurach – Alexander Freed.....	577
Awaryjny plan awaryjny – Anne Toole.....	595
Prawa ręka – Lydia Kang	619
Whillowie kontratakują – Tom Angleberger.....	633

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce....

OCZY IMPERIUM

Kiersten White



Wybierzcie dowolną spośród dziesięciu ostatnich przeglądanych transmisji. Musicie tam spędzić resztę życia. Gdzie jesteście? – spytała Lorem, a jej głos rozszedł się echem po niewielkim pomieszczeniu analiz, gdzie pracowali.

Maela była pod wrażeniem tego, jak Lorem potrafiła robić wiele rzeczy naraz – sortowała dane, a jednocześnie prowadziła niekończące się pogaduszki.

Co innego Dirjo Harch.

– Rób, co do ciebie należy, i bądź cicho. – Wyłączył to, czemu przyglądał się na ekranie, i odpalił kolejny pakiet danych. Maela wołałaby, gdyby pozwalano im pracować indywidualnie. Albo jeszcze lepiej – w małych grupach. Wybrałaby do własnej Lorem. I Aziera. Więc tak naprawdę

pracowałyby ze wszystkimi prócz Dirja, zważywszy na jego kwaśne miny i nędzną osobowość.

– Przecież robię – rzuciła Lorem, jak zawsze radosna. Czasami nosiła czapkę na ciemnych lokach pod zawadiackim kątem. Na tyle tylko, by złamać regulamin, a jednocześnie nie zejść za skórę Dirjowi i nie ryzykować skargi. Maela lubiła ich mundury. To, co oznaczały. Że była tutaj. Że to robiła.

Światelko zamigotało przy jej twarzy i kobieta przesunęła włącznik. Przyjęła nadciągającą transmisję i dodała ją do ciągle rosnącej kolejki. Tak długo pracowała już z sondami zwiadowczymi typu Viper, z ich niezliczonymi zastępami, z maszynami o okrągłych kopułach i odnóżach niczym podzielone stawami macki. Wpatrywała się w ich puste czarne ślepia i zastanawiała się, dokąd je wywieje. Co zobaczą.

10

A teraz sama widziała wszystko.

– Ale g d y robię, co do mnie należy – ciągnęła Lorem, na co Dirjo aż się spiął – nie łapię, czemu niby nie mielibyśmy się nieco zabawić. Będziemy się przedzierać przez sto tysięcy transmisji.

Azier odchylił się w fotelu i rozciągnął ramiona. Rozmasował dłońmi bladą, nienagannie ogoloną, pokrytą zmarszczkami twarz. Maela podejrzewała, że praca nad odzyskiwaniem i przetwarzaniem transmisji w ramach Projektu Rój w jego przypadku była degradacją, choć nie wiedziała dlaczego. Podobnie jak ona sama, Dirjo i Lorem dopiero zaczęli imperialną służbę.

– Lorem, moja młoda koleżanko – odparł Azier gładkim tonem imperialnego, tym, który Maela nadal próbowała opanować, by zataić, że pochodzi skądś indziej. – Mężczyzna, któremu podlegamy, służy na pokładzie „Executora” w Eskadrze Śmierci Dartha Vadera. Naprawdę uważasz, że z a b a w a jest priorytetem dla kogokolwiek z nich?

Lozem zachichotała i nawet Maela mimowolnie się uśmiechnęła. Dirjo jednak prychnął i odwrócił gwałtownie głowę.

– Śmiesz krytykować lorda Vadera?

Azier machnęła lekceważąco ręką.

– Przynoszą śmierć tym, którzy zagrażają Imperium. Przeżyłem wojnę, której żadne z was nie pamięta i nie rozumie. Ani myślę przechodzić przez to ponownie. A co do twojego pytania, Lozem, wolę już na zawsze pozostać w tej latającej metalowej puszcze, niż odwiedzić jedną z tych zapomnianych skał, z których składają meldunki nasze sondy zwiadowcze.

– Nie przez sto tysięcy – wtrąciła lekkim tonem Maela.

– Co? – spytała Loren. Obróciła się w fotelu, by poświęcić całą uwagę koleżance.

– W ramach Projektu Rój rozsiano po galaktyce sto tysięcy jednostek. Ale nie wszystkie dotrą do celu. Niektóre się rozbijają i staną bezużyteczne. Część wyląduje w środowisku uniemożliwiającym transmisję. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że dostaniemy gdzieś od sześćdziesięciu pięciu do osiemdziesięciu tysięcy transmisji. – Sondy zwiadowcze typu Viper stanowiły wytrzymałe cudeńka, chronione ponadto przez kapsuły, ale mimo wszystko. Kosmos był rozległy, a zmiennych zatrzęsienie.

– W takim razie uporamy się z tym przed końcem zmiany – odparła Lozem i wyszczerzyła zęby. – A potem postanowimy, na której planecie będziemy żyć po wsze czasy! Choć moje opcje są takie sobie. Ty jesteś z Głębokiego Jądra, prawda? Masz jakieś nagrania z rodzimego świata, żebyśmy mogli je dodać do listy potencjalnych relokacji?

Maela odwróciła się w stronę własnej konsoli. Widać jej praca nad akcentem poszła na marne.

– Nie mam. Nie wysyłaliśmy sond na Vulpter.

Azior prychnął.

– Co? – spytała Lorem. – Co w tym śmiesznego?

Dirjo wcisnął przycisk mocniej, niż było to konieczne.

– Połowa sond, którymi dysponujemy, powstała właśnie tam, na Vulpterze. Ale wracamy do pracy. – Przybrał opryskliwy ton, ale otaksował Maelę badawczym spojrzeniem. – Przybyłaś z części produkcyjnej. Chętnie bym o tym kiedyś porozmawiał.

Maela spojrzała na ekran. Wiedziała, że mało kto rwał się do tej pracy. Że wykonywali ją albo nieudacznicy pokroju Aziera, albo ludzie tacy jak Dirjo, którzy jeszcze nie zdołali się wspiąć po szczeblach kariery. Sama jednak wniosła konkretnie o ten przydział i nie miała ochoty trafić nigdzie indziej w ramach służby Imperium. Wsunęła dłoń do kieszeni i powiodła palcami po gładkiej, okrągłej powierzchni głównej soczewki sondy. Ile razy wpatrywała się w te fotoreceptory i pragnęła zobaczyć to, co one? Ile razy wyobrażała sobie, jak pędzi przez bezmiar kosmosu, by podziwiać niesamowite widoki?

A teraz była tutaj. Możliwie najbliżej. W zasięgu ręki miała wizje i cele podróży dziesiątek tysięcy sond zwiadowczych. Jak w marzeniach.

No, przynajmniej w j e j marzeniach.

– Nie – odparła jej matka. Nie zadała sobie trudu, by zdjąć gogle o lustrzanych soczewkach. – Wykluczone.

Maela poczuła, jak na jej twarzy pojawia się kwaśna mina, a to rozzłościło ją jeszcze bardziej. Sądziła, że już wyrosła z grymasów, no i z d e c y d o w a n i e wyrosła z wieku, w którym wargi zdradzały jej każdą emocję, co spotykało się z szyderstwami.

– To niesprawiedliwe – powiedziała, wskazując prototyp, przy którym dłużyła matka. – Tam jest tyle do zobaczenia, one widzą wszystko, a jedyne, co widzę ja, to ten zakład produkcyjny. – Maela wychyliła się i spojrzała na własne zniekształcone odbicie w głównym oku droida. Wiedziała, że tak naprawdę to nie oko, nie do końca, ale zawsze tak o nim myślała. Spacerowała wzdłuż rzędów sond, podwieszonych na mechanicznych pnączach niczym owoce. Stała się ujrzyć siebie w każdej soczewce. Dzięki temu, gdy już rozprzestrzeniła się po galaktyce i polecą w kierunku ciał niebieskich, których nigdy nie miała odwiedzić, przynajmniej jakaś jej część tam trafi. Duch w maszynach jej matki.

– Myślisz, że tyle zobaczysz, gdy podejmiesz pracę dla Imperium? – Jej matka zrobiła minę, jakby zjadła coś nieodpornego. – Uwierzyć mi, nie chcesz mieć z nimi nic wspólnego.

– Jak możesz tak mówić? – Maela wyrzuciła ręce w powietrze, zniesmaczona hipokryzją matki. – Sama dla nich pracujesz!

– Nie pracuję dla nich. Projektuję i produkuję droidy. A po wojnach klonów nie jest to najbardziej opłacalny interes. – Westchnęła, odchyliła się i powiodła dłońmi po niesfornych lokach. Teraz były już bardziej siwe niż czarne, a Maela wiedziała, że pod goglami ujrzećby cienkie linie zmarszczek, powoli zniekształcających skórę wokół oczu matki. – Ale na tym się znam. I dzięki temu zapewniam bezpieczeństwo naszej rodzinie.

– I więzisz nas tutaj, na tej pozbawionej życia planecie, w tej bezdusznej fabryce! – Maela kopnęła w stół i części prototypu poleciały we wszystkie strony. – Przynajmniej gdybym pracowała dla Imperium, robiłabym coś ważnego.

– Tak – odparła matka tonem przywodzącym na myśl zasuwające się drzwi. – Robiłabyś wiele różnych rzeczy. – Oddaliła się i zostawiła Maelę samą z metalem, który jeszcze nie był droidem.

Maela podniosła soczewkę i spojrzała we własne odbicie. Nie chciała być duchem, wspomnieniem, więźniem. Część zmieściła się idealnie w jej kieszeni wraz z podjętą przed chwilą decyzją. Zamierzała zobaczyć galaktykę, posyłana ku coraz nowszemu, nieznanemu celom przez to samo Imperium, które odbierało te droidy.

14

Maela miała zmęczone oczy, tak suche, że gdy mrugała, słyszała, jak powieki ocierają się o siebie. Nie wiedziała, jak długo oglądała nagrania, odsiewając te, które nie zawierały żadnych przydatnych informacji. Pozostali w którymś momencie opuścili pomieszczenie, by coś zjeść czy pójść spać, nie była pewna.

Nie potrzebowała droidów matki, by jej duch zwiedzał galaktykę, bo teraz była z nimi połączona. Miała je na wyciągnięcie ręki. Za ich pośrednictwem ukazywały się jej niezliczone nowe widoki. Była w s z ę d z i e.

Rośliny wysokie niczym wieżowce, wznoszące się w niebo, emanujące barwami niewykrywalnymi ludzkim okiem. Krajobrazy pustynne, tak jałowe, że sam ich widok sprawiał, iż robiło się jej sucho w gardle. Bezdenny ocean, oczy i zęby skierowane w jej stronę, gdy zagłębiała się w ciemnościach. Świat za światem, a ona widziała je wszystkie.

Tak zaślepiła ją nieskończona biel lodu najnowszej planety, że o mało tego nie przegapiła.

– Ktoś je wznioł – szepnęła, wodząc wzrokiem po geometrycznych, symetrycznych kopcach wystających z lodu. Były zbudowane z metalu, a według droida generowały

energię. Co oznaczało, że ktoś z nich korzystał. Zanim jednak mogła nawiązać połączenie i pokierować sondą osobiście, ekran zamigotał i łączność ustała.

Maszyna uległa samozniszczeniu. Co oznaczało tylko jedno: została zaatakowana. Maeli wzrosło tętno. Znalazła to. Była pewna. Znalazła to, czego szukali.

Wdusiła przycisk komunikatora.

– Dirjo, mam ich.

Z głośnika wydobyły się szумы i zaspány głos.

– Ale że kogo?

– Rebelię.

Po paru minutach mężczyzna stał tuż obok i nachylał się nad ekranem. Dołączyli i pozostali. W sali było zbyt ciasno, by wszyscy pomieścili się przy jej stanowisku.

– Jesteś pewna? – zapytał. – W galaktyce jest mnóstwo różnych kolonii.

– Nie na Hoth. Jedynymi rzeczami, które znalazłam, są śnieg i nieliczne zwierzęta. – Przyjrzała się w całości nagraniom sondy, cofając je od momentu wybuchu, ale oprócz generatorów i samego ataku dostrzegała jedynie śnieg, lód i stworzenia człapiące niezgrabnie na dwóch nogach, o małych łapach i potężnych grubych ogonach. Na swój sposób były urocze. Przez dłuższy czas przyglądała się stadu. Wyobrażała sobie, jak brzmią te zwierzęta, jakie wydaje się w dotyku ich futro, jaką funkcję pełnią te zakręcone rogi. W mniejszym stopniu przejmowała się Rebelią.

– Zresztą – dodała, próbując skupić myśli – te generatory są zbyt duże jak na prostą kolonię. I ktoś strzelił do droida. – To ostatnie ją zabolalo. Żalowała, że nie może wznowić połączenia. Nie chciała, by jej sonda, jej o c z y, leżała martwa w śniegu.

Dirjo skrzywił się i przygryzł wargę.

- Jeśli się mylimy...
- To będziemy szukać dalej.

Azier prychnął.

- To Imperium. Tutaj pomyłki nie uchodzą płazem.

Maeli było wszystko jedno. Żywiła przekonanie, że odnalazła Rebelię. No i czuła, że to właściwe, by udało się to właśnie jej. Jej droidom, jej oczom. Przez ten cały czas marzyła o tym, że znajdzie się w ich wnętrzu. Sprawdziło się.

Dirjo zaczerpnął głęboko tchu, po czym przytaknął.

- Wyślę twoje ustalenia Piettowi.

Maela zwolniła miejsce przy stanowisku. Przejął je Dirjo.

Loem zmarszczyła brwi.

- To Maela dokonała odkrycia. Powinno pójść na jej konto.

16 – Przecież nie chodzi o pochwały, a o Imperium – odparł Dirjo.

- Skoro nie, to dlaczego się upierasz, że to ty osobiście przekazesz informacje Piettowi? – burknął Azier.

Maela już zasiadła przy innym stanowisku. Jeśli się okaże, że nie ma racji, będą musieli szukać dalej, więc równie dobrze mogła już zacząć. Nie potrafiła jednak przestać myśleć o zaobserwowanych istotach, ani o rozbłysku światła czy o końcówce transmisji. Istotę, która wyszła spod rąk jej matki, spotkał gwałtowny koniec. Tak samo gwałtownie skończyła się wizyta Maeli na Hoth.

Gdy wszyscy byli zaaferowani oczekiwaniem na kontakt ze strony Pietta, Maela przeglądała niezliczone transmisje. Gdy znalazła tę, której szukała, zalała ją fala triumfu: kolejna sonda zwiadowcza wylądowała na Hoth. Co oznaczało, że nadal może się tam rozejrzeć.

Nie powinna. Albo Hoth było ich celem, albo nie. Powinna szukać dalej.

Hoth jednak zdawało jej się miejscem prawdziwszym niż wszystkie poprzednio odwiedzone. To, co tam ujrzała, miało znaczenie, i była irracjonalnie zła na to, że transmisja tak szybko dobiegła końca. Jasne, ciągle tracili sondy zwiadowcze. Ale ta została z n i s z c z o n a.

Później – nie potrafiła powiedzieć kiedy, bo gorączkowo przeglądała nagrania w nadziei, że znajdzie coś wyjątkowego, i próbowała zapomnieć, jak usilnie pragnie wrócić na Hoth – nadeszła transmisja z „Executora”.

– Tak, sir. Dziękuję, sir. – Dirjo oparł się o konsolę. Na jego twarzy walczyły ze sobą ulga i samozadowolenie. – Mieliśmy rację. Są na Hoth.

Lozem położyła dłoń na ramieniu koleżanki.

– Chciałeś powiedzieć, że Maela miała rację.

– To będzie wielkie zwycięstwo dla Imperium. Już jest zwycięstwem dla Projektu Rój. – Dirjo stanął prosto, obciągnął mundur i wypiął pierś. – Powinniśmy to uczcić.

– Zrobię wszystko, byle tylko opuścić tę klitkę – burknął Azier i wstał z fotela, choć on nie poprawił pomiętej kurtki.

Lozem się zaśmiała. Chwyciła Maelę za rękę i odciągnęła ją od stanowiska. Kobieta obejrzała się tęsknie na migoczące kontrolki, na kwadratowe przyciski, obietnicę cudów przekazywanych za pośrednictwem innych oczu. Włożyła rękę do kieszeni i pogładziła gładką powierzchnię soczewki. Przekaze wieść matce. Wyśle informację o ich sukcesie. Dowód na to, że nie tylko droidy zasługują, by rozsyłać je po całej galaktyce.

Śniła o lodzie. Nie potrafiła przestać o nim myśleć, zastanawiać się. Tęskniła za swoją przedwcześnie zakończoną wizytą na planecie, która faktycznie okazała się mieć znaczenie.

Parę dni później, gdy wszyscy pozostali odsypiali zmianę, Maela wślizgnęła się do centrali Projektu Rój. Jej fotel był chłodny, a światła – przyćmione, ale pomieszczenie zniknęło, gdy przejęła zdalne sterowanie nad drugą sondą na Hoth.

Wślizgnęła się w jej metalowy korpus i pozwoliła, by ekran wypełnił jej wzrok. Chłód fotela zmienił się w chłód skutego lodem krajobrazu. Znalazła się tam.

Sunęła wzdłuż lodowców i zasp śnieżnych. Liczyła na to, że odnajdzie stado tamtych zwierząt. Coś innego jednak przykuło jej uwagę. Dym. Podryfowała w jego stronę – jej metalowe kończyny w ogóle nie dotykały ziemi. Dym unosił się znad przeogromnych trucheł imperialnych maszyn, zniszczonych i osmalonych, przypalonych i stopionych. Dotarły tu przed nią.

18

Ale przecież nie chodziło tu o podział one–ona. Sama była częścią Imperium. Skierowała się w stronę ich celu. To, co się tu rozegrało, dobiegło już końca. Wmówiła sobie, że poszukuje jakichkolwiek informacji, mogących pomóc Imperium, ale tak naprawdę chciała zobaczyć miejsce, którego nigdy nie odwiedzi, a które odkryła, które podarowała Imperium. Bo w końcu to zwycięstwo było i jej udziałem, prawda?

Bez trudu odnalazła wejście do bazy, ostrzelane i powykręcane, podobnie jak imperialne maszyny. Ostrożnie wślizgnęła się do środka. Nawigowała poprzez korytarze. W niektórych miejscach zapadł się dach. Kawały lodu i śniegu blokowały przejście. Było ciemno, więc zmieniała ustawienia obrazu. I wtedy to zobaczyła.

Poczuła na języku metaliczny smak. Usłyszała dzwonienie w uszach.

Imperialne mundury. I inne. Pozostawione ciała, sponiewierane, wykręcane. Przeleciała nad nimi. Nie dotknęła ani jednego.

Tam, kolejne. Jeszcze inne. Wyciągnęła przed siebie ramię. Pod ogromnym ciężarem lodu i śniegu leżało przgniecione zwierzę. Wystawała mu sama głowa. Ramię sondy dotknęło jednego z tych zabawnie skręconych rogów, ale...

Ale to nie było jej ramię. Należało do droida. Sama zaś nigdy się nie przekona, jakie to uczucie. Nie doświadczy niczego. Droid obracał się i obracał, i wszędzie napotykał zniszczenie, ciała i roztrzaskane maszyny. Nie miało znaczenia, czy truchła należą do imperialnych, do rebeliantów czy do istot, które powinny biegać po lodzie. Wszystkie zostały jednakowo unicestwione.

Rzuciła się w gwiazdy i zdawało się jej, że tylko patrzy. Jednak oko nigdy nie było tylko okiem. Było połączone z ciałem.

Była oczyma Imperium. A jego dłonie uczyniły to z jej przyczyny.

19

Dirjo opierał się o swoje krzesło. Przekazał im informacje o postęпах Imperium po Hoth i przypominał im – znów – o sukcesach Pietta. Lorem powiedziałyby, że Dirjo plecie jak droid z przepięciem, ale Maela uznała, że to nie fair w stosunku do droidów. One nie wybrały takiego życia. Zostały stworzone i robiły, co do nich należy.

Patrzyły tam, gdzie o n a im kazała.

Poruszyła dłońmi. Wyobraziła sobie, że dotyka krętych rogów. Projekt Rój okazał się udany, ale jeszcze nie dobiegł końca. Nigdy nie miał się skończyć, póki istniała Rebelia, która mogła się skryć gdzie indziej. Soczewka droida wpatrywała się w nią z miejsca, gdzie ją odłożyła. Maela spojrzała we własne zniekształcone odbicie, po czym przeniosła wzrok na ekran. Nagranie po nagraniu. Setki nagrań, zlewających się w jedną całość.

Księżyc zarośnięty prastarymi lasami. Droid podczas zejścia rozgrzał się do tego stopnia, że zaproszył ogień wokół siebie i teraz obraz przedstawiał szalejące inferno.

Planeta pozbawiona światła, tak ciemna, że żadne ustawienie kamer nie mogło zgłębić mroku. Tylko powtarzające się sygnały z czujników ruchu wskazywały na to, że coś czai się w pobliżu.

Asteroida wielkości planety. Sonda została uszkodzona podczas podejścia i teraz mogła jedynie patrzeć bez ruchu, bez zasilania, podróżując na skale przez przestworza.

Bagnista planeta, zatrzęsienie roślin i mokradeł, błota i pnączy, bez niczego, co wskazywałoby na to, że Imperium powinno ją zaszczyścić drugim spojrzeniem. Tylko – tam, zarys czegoś na tle nocy! Czegoś nieorganicznego. Czegoś, co podejrzenie przypominało na wpół zatopionego X-winga.

Dirjo szarpnął nerwowo za kamizelkę munduru.

– Wyniki – rzucił. – Imperium na nas polega.

Maela wcisnęła przycisk, by usunąć nagranie. Usunęła Dagobah z oczu Imperium. Przeszła do kolejnych światów. Wreszcie widziała wyraźnie.

GŁÓD

Mark Oshiro



Lód nie dbał o nikogo.

Przypominał sobie o tym za każdym razem, gdy opuszczał dom. Możliwe, że słońca i księżyce przesuną się wiele razy po nieboskłonie, nim zdobędzie wystarczającą ilość pożywienia, by wrócić, by nakarmić je wszystkie. Szczególnie teraz, gdy z rozbawieniem machnął łapą na jedno z młodych, płatające się mu między nogami. Młode stanęło przed nim i zaryczało, a tak naprawdę zapiszczało, bo dźwięk nie wzbudzał jeszcze należnego strachu. Ale na początek dobre i to. Wystarczy praktyka, żywność i czas, by stało się równie przerażające co jego ojciec.

We dwoje wspięli się długim korytarzem wychodzącym z centralnej groty. Osoba postronna bez trudu mogłaby się tu zgubić. To właśnie dlatego on i jego partnerka godowa

wybrali to miejsce dawno temu. Coś tu dawniej mieszkało, a świadczyły o tym dziwne pozostawione rzeczy. Po grotach walały się twarde przedmioty, nie kamienie, kości czy kawałki lodu, a coś nieokreślonego wraz z gnijącymi szczątkami tego, co te bestie jadły.

Ten dom jednak był dobrze chroniony przed zimnem i innymi. To, że znaleźli to miejsce... Cóż, od samego początku wiedział, że to coś stałego, tego rodzaju azyl, jakiego przedstawiciele jego gatunku poszukiwali przez większość życia. Nieliczne drapieżniki, próbujące od tamtej pory naruszyć to terytorium, zagubiły się bez nadziei na znalezienie wyjścia wśród krętych tuneli, w pomieszczeniach, które w tych ciemnościach wydawały się identyczne. Było mu łatwo na nie polować, gdy błąkały się, osłabione i wystraszone.

22

A teraz miał swój klan. Trzy młode, ich matkę, partnerkę godową. Własną rodzinę. Nie istnieliby, gdyby nie odkrycie tej groty.

Teraz jednak przyszła pora, by opuścić schronienie.

Samica miała opiekować się młodymi pod jego nieobecność, ale nie stanowiło to dużego pocieszenia, bo... Cóż, polowanie to polowanie. Ciągnęło się długo i nie miał gwarancji, że cokolwiek złapie. Kolejne dni zlewały się ze sobą, a nie dostrzegał ofiar.

Ale musiał wyruszyć po raz kolejny.

Musiał utrzymać swój klan przy życiu.

Potrzeba ta sprawiała, że stawiał kolejne kroki. Matka jego dzieci i jego partnerka otarła się nosem o jego nos na znak szacunku. Młode piszczwały i ryczały, choć tak naprawdę nie rozumiały, kręciły się u jego nóg. Gdy wyszedł na wiatr, chłód, lód i śnieg, jedno z nich podążyło jego śladem i zamachnęło się na niego. Zatrzymał się i je odepchnął,

po czym warknął. Zrozumiało. Odprowadzało go wzrokiem, nie ruszając się z miejsca. Wkrótce zanurzył się w bezgraniczną biel tundry.

Rozpoczęły się łowy.

Maszerował. Wspiął się na najbliższe wzniesienie i instynkt pokierował go ku szeregowi jaskiń w oddali. Raz znalazł tam stado jego ulubionych ofiar, bestii, które poruszały się na dwóch kończynach i z głów wyrastały im takie bezużyteczne rogi. Łatwo dawały się upolować, przynajmniej gdy skupiało się na pojedynczych okazach. W grupie potrafiły być niebezpieczne, ale łatwiej było oddzielić jedno zwierzę od stada, udać się za nim w pościg, zmęczyć je i wzbudzić w nim strach, że nikt mu nie pomoże.

Żywił się mniejszymi stworzeniami, by zachować energię. Rzadko sypiał; wiedział, że wtedy grozi mu największe niebezpieczeństwo. Odpoczywał tylko tyle, by móc ruszyć w dalszą podróż.

Wznówić łowy.

Słońce sunęło po niebie. Raz, drugi, trzeci. Księżyc, a każdy miał własny kształt i barwę, pojawiały się z końcem dnia, gdy nastawała noc i łowcy zagrażał przerażający chłód. Parł jednak dalej. Raz schronił się przed wyjątkowo srogim wiatrem, takim, który zdawał się przeszywać jego futro. Schował się pod ścianą klifu, aż znów wstało słońce.

Poświęcał się dla nich.

Znalazł ofiarę na południowym skraju skalnego masywu. Uznał, że bez trudu osaczy ją w dolinie poniżej. Gdy zdjął największe zwierzę, które zamachnęło się na niego tymi krętymi rogami, bez trudu wytropił pozostałe. Pożywił się tym najmniejszym, zjadając je do ostatniej kosteczki, by starczyło mu energii na długą podróż powrotną. Nie zamierzał się

zatrzymywać ani odpoczywać; ryzyko było zbyt duże, skoro ciągnął za sobą truchła.

Wciąż maszerował.

Nie wiedział, ile słońc i księżyców pokonało niebo.

Nie dbał o to, jak wielki chłód odczuwał, gdy stapał po lodzie i śniegu.

Nie pozwolił, by wyczerpanie, które czuł w mięśniach i kościach, powaliło go na ziemię.

Szedł przed siebie z jedną myślą w głowie.

„Muszę wrócić”.

Wspiął się na ostatnie wzniesienie i przez krótką chwilę myślał, że to światło słoneczne płata mu figle. Może i go oślepiało, gdy odbijało się od lodu, ale upuścił truchła. Wbił wzrok w dal. Pochylił się.

24

Wychodzili na lód nieopodal ogromnej struktury: małe istotki, chodzące prosto na tylnych kończynach, ciemne kształty na tle śniegu. Niektóre jeździły na grzbietach zwierząt tego samego rodzaju, które właśnie pozbawił życia; inne kierowały je przed siebie, wrzeszcząc na nie i krzycząc.

Wiedział, że to go opóźni, ale nie powstrzyma.

Ruszył w kierunku wejścia do jaskiń w dalekiej części wzniesienia. Zastanawiał się, czy ci nowo przybyli utrudnią mu łowy. Będą mu przeszkadzać w grocie? Przeprowadzą atak?

Kipiał w nim gniew. To był jego d o m.

Myślał o swoim klanie, gdy schodził do doliny, do siebie. Mógł skorzystać z drugiego wejścia – mniejszego, uciążliwego. Przez cały czas obserwował te istoty. Nie wydawały się tworzyć stad, ale były liczne. Bez znaczenia. Mógłby je pokonać jednym machnięciem łapy.

Wcisnął się w szparę w jednej z tylnych grot. Upadł na ziemię w korytarzu i przyłożył łapy do uszu. Przez lód niósł się

echem straszny dźwięk: coś wysokiego, powtarzającego się. Przeszywał mu uszy i sprawiał, że przez jego ciało przechodziły kolejne fale mdłości.

Wydawało się to niemożliwe; przecież był tak daleko od tych istot! Czyżby jakimś cudem wdarły się do środka? Nie były świadome, kto tu mieszka?

Pozostawił truchła i skierował się w głąb własnej jamy. Gdy wreszcie dotarł, niemożliwe okazało się prawdą: tam, w ścianie lodu, ziała teraz wielka dziura, a dźwięki, które z niej dobiegały, powodowały przeraźliwy ból.

Parł jednak przed siebie. M u s i a ł. Musiał ich odnaleźć.

Szukał. W miejscu, gdzie zakopywali swoje nieczystości. (Puste). W jednej z grot, gdzie się pożywiali. (Teraz zajętej przez całe rzesze tych strasznych stworzeń). Szedł nisko przy ziemi, gdy wpadła na niego jakaś istota, wyłoniwszy się z jednego z mniejszych pomieszczeń w głębokiej części jaskini. (Z j e g o domu). Rzuciła mu szybkie spojrzenie i wrzasnęła. Zamierzała go wystraszyć? A może sama przeraziła się tak dalece, że instynktownie wydała taki dźwięk? Niektóre stworzenia robiły tak przed śmiercią. Nie potrafiły się powstrzymać.

Ryknął i zamachnął się, by zmiażdżyć przeciwnika.

Istota uniosła rękę. W jej łapie było coś ciemnego, a potem pojawił się świetlisty promień. Niemożliwie szybko pokonał dzielącą ich odległość niczym te smugi światła, które często widywał nocą na niebie.

Jeszcze nigdy nie doświadczył tak rozdzierającego bólu. Miał wrażenie, jakby promieniował głęboko pod sierść i skórę. Kąsał mięśnie jego nogi. Tym razem sam zaryczał w agonii.

I dał się ponieść wściekłości.

Nie miał pojęcia, ile istot okaleczył czy zabił w tamtych chwilach, ale uderzał we wszystko, co się poruszało. Nie

potrafił ich odnaleźć. Gdzie się podziawali? Gdzie była jego rodzina? Gdzie byli jego d z i e c i? Wparował do największej sali w grocie i ujrzał niezliczone stworzenia. Rozpierzchły się z wrzaskiem we wszystkie strony, a on znów zaryczał.

Wyczuwał resztki swojego klanu, słaby podmuch tego, kim kiedyś byli. Gdzie się podziali? Co te istoty z nimi zrobiły?

Pojawiło się tamto przeszywające światło, ale tym razem go nie ugodziło. Wybiegł z domu przed wejście, brocząc krwią po śniegu i lodzie. Szedł przed siebie, a te istoty posyłały za nim nieznane mu dźwięki. Zniknął wśród pobliskich wzgórz.

Dopiero gdy znalazł się w bezpiecznym miejscu, dotarło do niego, że zawiódł rodzinę. Jego partnerka z pewnością ochroniła młode. Może znaleźli inne schronienie?

26

Posmarował ranę śniegiem, zmusił ją, by zdrętwiała, aby mógł się przemieszczać.

I poszedł.

Nie znalazł ich w grotach po przeciwnej stronie wzniesień, w miejscu, które było ich domem. Może jego partnerka zabrała młode tam, gdzie mieszkali wcześniej.

Jednak i tam ich nie znalazł.

Nie znalazł ich nigdzie.

Coś go wypełniło. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie odczuwał. Teraz w jego wnętrzu tkwiła pustka, taka, która wyżuła go od środka, która zdawała się zwiększać rozmiary z każdym przejściem słońca po niebie. Starał się wypełnić ją jedzeniem. Tu i ówdzie łapał ofiary. Ale choć zaspokajał w ten sposób głód, to drugie uczucie rozkwitało. Bez klanu czuł się pusty.

Czekał. Obserwował. Rozpaczał.

Coraz to kolejne istoty zasiedlały jego dom. Przybywały, odchodziły, niekiedy udawały się na lód na grzbietach tych

innych zwierząt, ale zawsze przynajmniej parami. Były tak liczne. Jak mogły to robić? Czego chciały? Czyżby też polowały?

Głódował. Obserwował. Czekał.

Pewnego ranka małe stado opuściło grotę na grzbietach bestii z rogami. Dał się ponieść instynktowi: mógł sobie poradzić z tak nieliczną grupą. W końcu prędzej czy później wszystkie istoty żywe padały ofiarą jego gatunku. A że rogate stworzenia były obciążone, nie mogły rozwijać normalnej prędkości.

Czyli nie mogli uciec.

To aż za łatwe.

Nie chodziło mu jednak o wyzwanie. Podążył za stadem, obserwował, jak się rozdziela i jego poszczególni członkowie rozpraszają się po lodzie. On jednak jak zawsze pozostawał cichy i zachowywał odległość. Chciał, by ostatnimi rzeczami, jakie zobaczą jego ofiary, były biel jego sierści, jego przerażająca, otwarta szeroko paszcza i ostre pazury przecinające miękką szyję.

Nie pragnął zaspokajać głodu. Nie chodziło o uctowanie. Nie.

Chciał zapełnić pustkę w swoim ciele.

A mogła to zrobić tylko krew.

Wybrał jedną ofiarę. Nie było potrzeby, by skupiał się na całym stadzie. Wybrał mizerną istotę, najmniejszą ze wszystkich, którą będzie mu najłatwiej pokonać.

Czy dzięki temu zjednoczy się ze swoim klanem? Ta istota wyjawia mu jego los?

Nie.

Ale zawsze to jakiś początek.

Zbliżył się do równiny. Był świadom tego, że nie ma tu wielu miejsc, gdzie mógłby się przyczaić, ale nie wolno mu

zaprzepaścić tej j e d y n e j szansy. Znieruchomiał i obserwował. Patrzył, jak ta istota zakopuje coś pod śniegiem.

Czekał. Niezgrabna ofiara wspięła się na wierzchowca i oboje ruszyli przed siebie.

Zatrzymali się.

Wtedy popędził przed siebie, trzymając się nisko przy ziemi. Zmniejszał dzielącą ich odległość.

Rogata bestia odwróciła głowę i zamarła w miejscu. Uniosła pysk w powietrze, pociągnęła parę razy nozdrzami. Był już pewien, że go wyczuwa, że za chwilę rozpocznie się pogoń.

Odwróciła się. Nie zerwała się do biegu.

Ciągle zmniejszał dystans. Trzymał się nisko przy ziemi. Oddychał miarowo, spokojnie.

Trach!

28

Nie wyprostował się, ale nie mógł nie odwrócić głowy. Ujrzał w oddali błysk ognia i dym. To wcale nie było znów tak rzadkie, z nieba ciągle coś spadało. Raz jedna taka rzecz zabiła inne młode z jego własnego miotu.

Chwila jednak nadeszła: idealne odwrócenie uwagi.

Sunął po lodzie. Istota na grzbiecie tej drugiej wydawała z siebie jakieś dźwięki. Strach? Zaniepokojenie? Rozmowa? Nie wiedział. Po prostu podkradał się coraz bliżej. Zatrzymywał się tylko wtedy, gdy bestia ryczała. Teraz albo nigdy. Jeśli go zauważą, z pewnością dojdzie do pościgu. Tak, w końcu ich złapie, ale wołał tego uniknąć.

Pragnął k r w i.

Rzucił się przed siebie.

Zamachnął się od góry masywną ręką i wrzasnął możliwie najgłośniejszy, by wzbudzić strach w ich sercach, sprawić, by zamarli w miejscu. Ciało mniejszej istoty padło na lód po jednym ciosie. Następnie złapał rogatą bestię za kark i skrzył go jednym potężnym ruchem.

Żadna z ofiar się nie poruszyła.

Dziś będzie ucztował.

Ale najpierw przygotowania. Chwycił obie istoty za nogi i zaciągnął do pustej groty, z której teraz korzystał. Podróż była długa i zazwyczaj by się martwił, że przedstawiciele innych klanów będą mu się naprzykrzać. Teraz jednak większość z nich zniknęła, przypuszczalnie wystraszona przez te niespotykane bestie i tę dziwną rzecz, którą wzniesli w śniegu, wypuszczającą promienie światła w powietrze.

Był sam wśród śniegu i lodu. Od dłuższego czasu.

Wiedział, że zachowa tę małą istotę na dłużej, a tę drugą zje od razu. Potrzebował energii, a pożywienie miało mu pomóc w realizacji planu.

Bo na tym jednym ataku nie skończy.

Nie. Odszuka pozostałe ofiary. Będzie je zdejmował jedna po drugiej. Za każdym razem, gdy pozbawi je życia, będzie bliżej odzyskania domu. Partnerki. Młodych. Matki jego dzieci.

Wszystkich jeszcze odzyska.

Miał mnóstwo czasu.

Rzucił truchło na tył groty i skupił się na drugiej ofierze, tej, która nadal żyła. Przyjrzał się jej głowie. Na czubku miała małą kępkę włosów. Powąchał. Istota miała na sobie o b c a sierść. Dziwne. Jak oni przeżywali w chłodzie tego świata?

Cóż, ten nie pożyje dłużej niż dwa księżyce. Uniósł go za nogi i chuchnął na strop jaskini, by stopić lód. Polizał dziwny materiał na stopach ofiary, by w jak największym stopniu pokryć go śliną, po czym przyłożył je do wilgotnego sufitu.

Jakiś mały obiekt odpadł od ciała stworzenia i wyładował wśród śniegu na dnie groty. Łowca nie poświęcił mu uwagi. Po chwili istota zwisiała już porządnie z lodu.

Przyjrzał się jej ponownie. Miała płytki oddech. Była taka delikatna, bezużyteczna. Nie potrafił pojąć, jak to coś w ogóle zdołało przeżyć do tej pory; nie odnosił wrażenia, że to młode. Jego ręce nie zostały stworzone do zamachiwania się na zdobycz, no i nie miało pazurów. Nogi wydawały się zbyt krótkie, by biegać prędko po lodzie czy śniegu.

Spojrzał mu w twarz. Czy to też miało rodzinę? Dom? Wiedziało, że odebrało mu dosłownie wszystko? O czym myślało? Nienawidziło jego gatunku, tak jak on nienawidził ich? To dlatego zabrali mu dom?

To bez znaczenia.

Odzyska to, co jego.

Posilił się. Odrywał kawałki skóry rogatej bestii i szybko je zjadał, po czym zajął się tłustym wnętrzem. Żałował, że mięso nie jest już świeże, mało co było tak przyjemne, jak ciepła krew w gardle. Szarpał mięśnie i ściągnął jednej z kończyn, pochłonięty samą przyjemnością ucztowania. I to właśnie ta przyjemność sprawiła, że nie zauważył tego wcześniej.

Zamarł.

Usłyszał jęk.

Cichy trzask.

Spojrzał na istotę, która wysilała się ze wszystkich sił. Wyciągnęła rękę i łowcę znów ogarnęła furia. Czy to c o s naprawdę uważało, że zdoła uciec? Że zdoła stawić o p ó r? Że mogłoby go p o k o n a ć? Zaryczał na tyle głośno, że grota zdawała się trząść w posadach, na tyle głośno, że ofiara zrobiła wielkie oczy, tuż po tym, jak upadła na ziemię. Wstała, odwróciła się w jego stronę i wtedy...

Światło. Wiązka. Z n ó w.

Jego gatunek nigdy nie zapominał. Dzięki doskonałej pamięci tropił ofiary, wiedział, które masywy wiodą ku

zdradliwym przepaściom. Pamiętał. Dom. Wrzask. Błysk światła, powodującego ogromny ból. Krew. Chaos.

Ale to światło było inne. Jakimś cudem. Wiązka nie leciała w jego stronę. W ogóle się nie poruszała, tak samo zresztą jak oni dwaj na tej małej przestrzeni.

Ta istota potrafiła u t r z y m a ć światło.

Nie.

D z i e r ż y ł a światło.

Powąchał powietrze i wyczuł ten sam ostry zapach, jak ten, którym emanował złom porozrzucany po jego dawnym domu. Czy to właśnie takie coś trzymało to stworzenie?

Nie bał się jednak. Nie mógł. Buzowała w nim złość.

Zaszarżował, pewien, że skruszy tę paskudą kreaturę jednym zamachem ręki. A wtedy wiązka przecięła powietrze. Z początku nie czuł bólu – a potem to o n skruszył go, wypełnił jego myśli. Jeszcze nigdy nie słyszał takiego dźwięku, dźwięku rozcinanego mięsa. Nigdy jeszcze nie spoglądał na dno groty, by ujrzeć tam własną rękę.

Znów zaryczał.

Nie.

Wrzasnął.

Istota uciekła w śnieżne pustkowia. Z pewnością wkrótce umrze; niemożliwe, by ot tak mogła przetrwać wśród lodu i wiatru. Nie potrafił jednak o niej dłużej myśleć, gdy ból promieniował po całym ciele. Natarł kikut śniegiem, tak samo jak wtedy, dawno temu, i zatamował krwawienie. Jego myśli dryfowały, najpierw w stronę bólu, potem – partnerek, a jeszcze potem młodych, których być może nie spotka już nigdy.

Spał.

Czuł ból.

Ten nie ustępował przez wiele księżyców. Były takie chwile, gdy miał wrażenie, że kończyła nadal tam jest, jakby

mógł rozszarpać ciało ofiary pazurami niedostępnymi wzrokowi. Nadal polował sam – mniej sprawnie niż do tej pory – aż wróciły mu siły. Aż doszedł do wniosku, że jest gotów.

Gdy był już w odpowiedniej formie, gdy dostosował się do nowej codzienności, wreszcie zaczął zmierzać ku dolinie. Niedawno zaspokoił głód fizyczny i teraz pragnął jedynie zemsty. Jego starania mogą się okazać bezowocne; nie każde łowy kończyły się sukcesem. Wiedział, że nadal może ponieść klęskę, że ten dzień może się okazać ostatnim. Musiał mimo to spróbować.

Gdy jednak wspiał się na wzniesienie i stał tak skulony w oczekiwaniu, poczuł, że się odpręży, że odpuszcza.

Nie dostrzegł w dolinie żadnych dziwnych obiektów.

Żadne istoty nie krzątały się przy grotach.

Mimo to schodził powoli. Założył, że w każdej chwili stworzenia mogą zaatakować z zaskoczenia wiązkami światła i zmusić go do odwrotu. Niczego jednak nie usłyszał. Nie ujrzał. Nie poczuł zapachu potu ni ciała. Znów powąchał powietrze.

Coś tu ostatnio płonęło.

U wylotu grot znajdowało się więcej śmieci: postrzępione kawałki czegoś twardego i ostrego. Smuga zamarznętej krwi. Osmalone pozostałości tego, co tu kiedyś było, co zastało jego klan.

Ruszył ku wejściu, trzymając się blisko ziemi, ale nie doszły go żadne dźwięki, zgrzyty czy trzaski, nic nie dotarło do jego uszu jak poprzednio. Po paru chwilach już się nie skradał. Wyprostował się i przechodził z jednej sali do drugiej. Wszystkie okazały się puste, opuszczone, zapomniane.

Musiał jeszcze przeszukać rozliczne zakątki, ale gdy tak stał w miejscu, które niegdyś było domem jego i klanu, wiedział, że zostało mu ono przywrócone.

GŁÓD

I ta pustka wewnątrz jego ciała skurczyła się, zastąpiona
czymś nowym.

Nadzieją.

Nadzieją na to, że powtórne spotkanie jest możliwe.

Z klanem.

Z partnerką.

Z młodymi.

Z tym, co mu ukradli.

Z jego d o m e m.